DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. Poznań 1 Lutego, 1888 r. Nr. 4.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

PAMIĘCI 1863 ROKU.

Ostatnia ćwierćwiekowa przestrzeń czasu najrozmaitsze zawiera wspomnienia i pamiątki w życiu jednostek polskiego narodu, pojedyńczych rodzin i całego społeczeństwa. Jeżeli zaś ścisły i bezstronny zrobimy ich obrachunek, jeżeli położymy je na szali uczuć, niewątpliwie przechyli się ona na korzyść tych, które zakrwawiają serce prawego Polaka, wywołując w niem smutek i tęschnotę za miniotą świetnością czasów dawno ubiegłych. Dnia 22-go stycznia b. r. minęło dwadzieścia pięć lat od chwili, kiedy po okropnie zawiedzionych, a w opłakane skutki dla całego narodu nader obfitych nadziejach, jakie przepełniały dusze wiernych synów ojczyzny przy rozpoczęciu powstania listopadowego, serca rodaków pozakordonowych nowem zaczęły bić tętnem, doznając dwóch na wskroś sobie przeciwnych, i stąd zaciętą walkę z sobą staczających uczuć... rozpaczy i nadziei.

Bo i jakżeż mogło być inaczej? Chwilowo zdawało się wprawdzie, że z pogodnego na pozór nieba nie wypadnie grom, któryby miał w niezmierne pogrążyć nieszczęście całe rodziny polskie w Kongresówce. Tymczasem nagle rozległ się wśród nocnej ciszy po ulicach Warszawy i wszystkich miast Królestwa polskiego złowrogi, serca tysięcy ojców, matek i synów rozdzierający okrzyk:... branka! Dwie alternatywy pozostały jedynie do wyboru młodzieży pozakordonowej: albo z krwawem pogodzić się przeznaczeniem, które zapędzić ją miało w sołdaty do najodleglejszych gubernii caratu, gdzie, umierając zwolna wśród tęschnoty za krajem, pod knutami siepaczy okrutnych gubernatorów nędznie musieliby dokonać życia; albo z orężem w ręku zbrojny stawić opór wykonaniu drakońskiego ukazu branki i tem samem w rozpaczliwej, bo nierównej, a jednak serce każdego Polaka nadzieją przepełniającej walce raczej wylać krew za lepszą przyszłość ojczyzny, aniżeli, przyobleczonym w mundur nienawistny, marnie ginąć wśród lodowców Orenburga, Irkucka, Nerczyńska!

Nietrudnym, albo raczej wśród danych stosunków wewnętrznych i zewnętrznych zupełnie koniecznym i naturalnym był wybór walki zaciętej na życie i śmierć, która rozstrzygnąć miała o dalszych losach narodu. Tak więc w nocy z dnia 22 na 23 stycznia powstała, jak jeden mąż, cała Kongresówka, nieco później po części także Litwa, niosąc w ofierze ojczyźnie krew i mienie, aby tylko wywalczyć dla niej wolność i skruszyć coraz większem brzemieniem ciążące na niej kajdany ucisku i niewoli. W imię zatem Boga i świętej sprawy gromadziła się na różnych, przez rząd narodowy wyznaczonych miejscach młodzież Kongresówki z promiennem wiarą i nadzieją obliczem, z którego i najzaciętszy a najpewniejszy swej wygranej wróg wyczytać i przekonać się musiał, że nigdy nie może zaginąć taki naród, który tak dzielnymi i walki chciwymi szczyci się synami. Miał się więc rozpocząć bój krwawy, bój stanowczy; poprzednio jednak naokół przedstawiał się widok rozdzierający serce każdego człowieka, ludzkiem obdarzonego uczuciem. Tu widziałeś sędziwego ojca, który kilku wyprawiał synów na pole walki, wzywając dla ich oręża błogosławieństwa boskiego; tam z krwawemi w oczach łzami żegnała biedna wdowa jedynaka, jedyną swą podporę i pociechę; owdzie wyrywał się brat z konwulsyjnych uścisków siostry, która w smutnem przeczuciu chwalebnego jego zgonu na polu sławy z objęć go swoich puścić nie chciała!... Lecz te wszystkie objawy serdecznych, gorących uczuć rodzinnych ustąpić musiały pierwszeństwa wyższemu, najpiękniejszemu z uczuć, co rozpierało szlachetne piersi młodzieży, uczuciu.... miłości ojczyzny!

Zawrzała więc walka krwawa i zacięta na rozlicznych miejscach całej Kongresówki. W lasach i na polach, po wsiach i miasteczkach staczał kwiat młodzieży polskiej boje z nienawistnym wrogiem; wszędzie krew lała się strumieniem, wszędzie prawdziwie bohaterska pogarda śmierci, wszędzie niezrównane dowody męztwa tych, którzy niezłomną mieli wiarę w pomyślny obrót sprawy świętej, za którą walczyli. I w rzeczy samej najzimniejszy nawet polityk bodaj wówczas mógł powątpiewać, że tak szlachetne wysilenia narodu pomyślnym nie będą uwieńczone skutkiem, tem więcej, że owe zastępy żądnej walki młodzieży dzielnych, wytrawnych i przezornych miały dowódzców. Nie występując niniejszem w charakterze dziejopisarza, ale raczej chcąc tylko dziś, w sposobnej chwili smutnej rocznicy, wywołać w czytelniku pewne ogólne wspomnienia z r. 1863, ograniczamy się na podaniu niektórych jedynie nazwisk tych dowódzców, którzy wybitniejsze w czasie powstania zajmowali stanowisko. Komuż z braci naszych, biorących jakikolwiek udział w sprawach ojczystych, obco brzmiałyby nazwiska: Langiewicza, Edmunda Taczanowskiego, Władysława Niegolewskiego, Edmunda Calliera, Sierakowskiego Mielęckiego, Czachowskiego, Hauke-Bosaka, a ostatecznie

Henryki Pustowojtów, z których jedni chlubną zginęli śmiercią na polu sławy, inni, dostawszy się w ręce wroga, pod knutem, lub na szubienicy męczeńskiego dokonali żywota, inni znowu, lubo przyświecali walczącym godnem podziwu męztwem, cudem — zdawałoby się — ocaleli — na to może, aby w szczęśliwszej przyszłości, gdy raz jeszcze pomocy dzielnego ich ramienia zawezwie ojczyzna — oglądać nowy cud... zmartwychwstania!

Usposobienie ogółu narodu, reforma włościańska, odwaga młodzieży, połączona z pogardą śmierci, dzielność i wytrawność dowódzców i wiele innych okoliczności zewnętrznych zdawały się zapowiadać, że Pan Bóg pobłogosławi orężowi polskiemu, że wysłucha kornych modłów dzieci o wyswobodzenia matki, i że po całem prawie stuleciu pokuty, wśród łez gorzkich, morza krwi wylanej i kajdan niewoli orzeł biały znowu jasne roztoczy skrzydła nad smętną „ziemią mogił i krzyżów"!..

Dodać nam jeszcze wypada, że polityczne położenie Europy w roku 1863 było tego rodzaju, iż poniekąd zachęcić mogło Kongresówkę do podjęcia z Moskalem walki nawet tak nierównej, i zarazem rozbudzić nadzieję jej pomyślnego zakończenia. Ziarnem, które w połowie XIX wieku na żyzny padło grunt Polski, aby zrazu, kiełkując zwolna i nie postrzeżenie, w kilkanaście lat później tem obfitsze wydać żniwo, była podniesiona przez Francyą idea narodowości. Pierwszem jej owocem było zjednoczenie Włoch. Dalszem i koniecznem następstwem tego niezmiernej doniosłości wypadku dziejowego było ogólne rozpowszechnienie i praktyczne zastosowanie idei narodowości. To też Austrya, która dotąd nawskroś reakcyjnem była państwem, nie mogąc nadal nowemu oprzeć się prądowi, nadała krajom swoim konstytucyą, na mocy której pojedyńcze narodowości, wchodzące w skład państwa austryackiego, zupełnie odrębne, samodzielne i wybitne zajęty odtąd stanowisko w radzie państwowej. Nawet i Rosya — ten odstraszający pierwowzór wszelkiego wstecznictwa na drodze politycznego rozwoju — ten olbrzym północy, który całą potęgę swoję na samowładnych zasadza rządach, nie chcąc uznać osobistej wolności pojedyńczych jednostek — uległa z konieczności rozpościerającej się idei narodowości, zabierając się — tak się przynajmniej wtenczas zdawało — do zupełnie nowych, dotąd niesłychanych reform, których zbawienne i błogie skutki obfitym strumieniem spłynąć także miały na kraj długoletniego męczeństwa i prześladowania... Tymczasem było to tylko chwilowe, słodkie złudzenie, zakończone bolesnem rozczarowaniem; wszelkie oczekiwania i nadzieje, połączone z podziwienia godną cierpliwością, okazały się płonnemi, a stąd naturalnym trybem rzeczy coraz większe następowało rozgoryczenie i rozdrażnienie umysłów w nieszczęśliwym narodzie, stąd też wyrodziła się w nim ostatecznie myśl i postanowienie wywalczenia sobie orężem tego, czego mu podstępnym sposobem odmówiono na drodze pokojowej.

I ktoż, przenosząc się duchem w rok 1863 i — nieuprzedzony — zapatrując sią na rzeczy okiem bezstronnego badacza wypadków dziejowych, potępić zechce bez szkody własnego sumienia to powstanie, które wśród tak korzystnych, jak się zdawało, wybuchło warunków, — ktore tak ukochanem, wypieszczonem, że tak powiemy, było dzieckiem uczuć i myśli, pragnień i chęci, oczekiwań i nadziei znacznej części narodu? Niechaj więc zawstydzony zamilknie ten, któryby dzisiaj, po upływie dwudziestu pięciu lat, swoje zimno-rozumowe rozwijając teorye polityczne, chciał nas przekonać, że powstanie w 1863 roku było szaleństwem, wybrykiem wybujałych młodzieńczych głów, które, nie umiejąc liczyć się z rzeczywistością, gotowe są wszystko na jednę stawić kartę, nie troszcząc się o to, co począć dalej, gdy niepowrotnie stracone będzie wszystko. Prawdą jest, że gorzkie, opłakane i smutne dla nas wynikły następstwa, że dotąd jeszcze bolesne nie zabliźniły się rany, że krwawą, ale może nader zbawienną na przyszłość okupiliśmy sobie naukę — pamiętajmy jednak, że niegodną i słabym tylko charakterom właściwą jest rzeczą wydawać surowy sąd o wypadkach dziejowej przeszłości wyłącznie ze względu na to, czy pomyślne, lub szkodliwe stąd wynikły skutki. Tak więc, rozstając się niniejszem ze wspomnieniami roku 1863, ktore nietylko nam, ale i całemu światu najdobitniejsze dają dowody żywotności przez tyle lat gnębionego narodu, ze skupieniem ducha, w cichości serca oddajmy cześć przynależną tym wszystkim, ktorzy czynny wzięli udział w walce o niepodległość.

Cześć Wam przeto, rycerze, szermierze wolności, którzyście na polu chwały polegli śmiercią bohaterską; cześć Wam, ktorzy gorącą miłość ojczyzny przypłaciliście hańbą szubienicy; cześć Wam, niezliczone ofiary wygnania, kopalni sybirskich i knuta srogich oprawców; cześć i Wam dzielni wojownicy, ktorych Opatrzność ocaliła z pogromu dla urzeczywistnienia niezbadanych swych celów i wyroków...

Niech skarżące się mogiły poległych, niechaj krew męczeńska wiernych synów ojczyzny, niechaj niema boleść i wzniosła, cicha rezygnacya ojców i matek, sióstr i kochanek po utracie istot najdroższych odwrócą gniew sprawiedliwego Boga od narodu polskiego; uproszą u Niego przebaczenie za błędy przodków i własne winy nasze, wleją otuchę i nadzieję lepszej przyszłości „w serca pełne łez i boleści!"...

Tymczasem wytrwajmy, „spokojni na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych"... .. wytrwajmy pełni ufności w obietnicę, dane synowi Grecyi: „A po długiem męczeństwie zorzę rozwiodę nad wami — udaruję was, czem aniołów moich obdarzyłem przed wiekami — szczęściem i tem, co obiecałem ludziom na szczycie Golgoty — wolnością!"

Osiris.

W DWUDZIESTOPIĘCIOLETNIĄ ROCZNICĘ

powstania 1863 roku.

Współuczestnikom poświęca

Adam Asnyk.

Ruchliwe fale czasu nie zatarły
Twych krwawych śladów, o! nieszczęścia roku,
Dotąd w swej grozie posępnej zamarły
Cięższy nad nami — i z przeszłości mroku
Przez lat szeregi, kroczysz, widmo blade,
Wlokąc za sobą, jak całun — zagładę.

Wieleż to razy ciebie przeklinano,
A z tobą marzeń zdradliwych ponętę!
Za każdą świeżą z ręki wroga raną
Zawsze twe imię wracało przeklęte
I zamrażało żywe serc porywy
Krzykiem zwątpienia i bojaźni mściwej.

Z twoich doświadczeń czerpano nauki
I niewolnicze wysławiano cnoty,
Gaszono skrzętnie święty żar — dopóki
Męzkim zapałem tchnęła pierś Heloty,
Sądząc, że lekiem najlepszym na rany
Jest gwałt, polskiemu uczuciu zadany.

Za twoje grzechy Polskę z mieczem w dłoni
Z szat obnażono, jak jawno-grzesznicę,
I urągano, że praw swoich broni,
I z ran szydzono i plwano jej w lice,
I z czci ją chciano odrzeć do ostatka,
Jakby to była nie ich własna matka!

Wszystko to w spadku zostało po tobie:
Grzeszne ofiary i grzeszniejsza skrucha,
Bunt tych, co, widząc mdlejące już ciało,
Śmieli doradzać samobójstwo ducha,

I więzy, które mocniej się nam wpiły,
I łzy palące . . . i wstyd . . . i mogiły! . .

A jednak pamięć obchodzimy twoją,
Jak ci, co, dawno z niewolą zbratani,
Nieszczęściu w oczy spojrzeć się nie boją,
I nawet z ciemnej wynoszą otchłani
Tę nieśmiertelną nadzieję, co zdala
Pracę pokoleń wiąże i utrwala.

My obchodzimy twą rocznicę smętną,
Bo dawnych zwycięztw święcić dziś nie śmiemy,
Niewolnik, hańby swej noszący piętno,
W rocznicę chwały ojców stoi niemy —
A tylko ta mu droga jest i święta,
W której sam skruszyć chciał krzywdzące pęta.

My obchodzimy w twem żałobnem święcie
Najbliższą z naszych dziejowych pamiątek,
I rycerskiego rapsodu zamknięcie,
Tego rapsodu, co, jak krwawy wątek,
Przebiegał dziejów pogrobowych kartę,
Zbrojąc wciąż serca pokoleń uparte.

Boś ty nie przyszedł, jako klątwa nieba,
Ani nie spadłeś, jak grom, niespodzianie,
Lecz, jak duchowa narodu potrzeba,
W krwawej wypadków wypłynąłeś pianie,
Aby ostatnim orężnym protestem
Zapisać w dziejach nieśmiertelne: j e s t e m!

Ty byłeś dzieckiem ostatniem epoki,
Która, tradycyą przechowując żywą,
Z dumnej przeszłości czerpała swe soki
I wolnych marzeń snując wciąż przędziwo,
Ku zmartwychwstaniu stale naprzód biegła —
Tak jeszcze blizka . . . a tak już odległa.

Nad tą epoką jaśniał jeszcze w górze
Duch niepodległej ojczyzny widomy,
Jeszcze francuzkiej rewolucyi burze
Świat wstrząsające rozrzucały gromy,
I biła na nią krwawych świateł fala
Z wojennych ognisk „małego kaprala.“

To pokolenie, które wówczas wzrosło,
Dni listopada było niedalekiem,
I swoich ojców rycerskie rzemiosło
Z krwią wzięło w spadku – i wyssało z mlekiem
Żywą tradycyą krótkiej zwycięztw chwały
I majestatu Polski zmartwychwstałej.

W cudownej przed niem spływały legendzie
Postacie wodzów, strojne w liść wawrzynu,
Wieszczów, krwawiących swe piersi łabędzie,
I męczennikow, rwących się do czynu,
Więzienia, groby, szubienice, krzyże,
I śnieżna, mroźna otchłań na Sybirze . . .

Więc silniej każde uderzało tętno,
I klątwa wieszczów na grunt padła żyzny,
Budząc gniew, zemstę i boleść namiętną
Nad poniżeniem i hańbą ojczyzny.
I wszystkie serca zbroiły się harde
W niewolniczego żywota pogardę.

Jeszcze ten łańcuch duszącej niewoli
Nie zatamował mężkiego odddechu,
Jeszcze męczeńskiej naszej aureoli
Nie tknęło błoto urągań i śmiechu
I pokutnicze nie straciły tłumy
Ostatnich błysków narodowej dumy.

Nie było nawet podówczas w zwyczaju
W dyplomatycznej ślizgać się zabawce,
W lada koniuszym, lub dworskim lokaju
Zaraz ojczyzny upatrywać zbawcę,
I tym, co jawnie wyparli się Polski,
Dawać na kredyt mandat apostolski.

Kiedy kto z wrogiem chciał wchodzić w konszachty
I stawiać złote zjednoczenia mosty,
Nie powiadano w gronie braci szlachty,
Że to mąż stanu, lecz, że zdrajca prosty,
I nie wróżono nowej szczęścia ery,
Widząc na piersiach błyszczące ordery.

Jeszcze przybierać nie umiała Polska
Postaci gadu, co się u stop czołga.
Wolała, żeby w drodze do Tobolska
Trupy jej synów unosiła Wołga,
Wolała ponieść ofiary najkrwawsze,
Niżby jej miano wyprzeć się na zawsze.

O! wtedy jeszcze nurtem tajnych koryt
Płynęły na świat idealne mary,
I nadawały cudowny koloryt
Tkanej przez losy przędzy życia szarej,
A na niebiosach jaśniał blask nadziemski
Niby wschodzącej znów gwiazdy bethlemskiej.

Męki wygnania, tęsknoty sieroctwa
Tonęły w wielkim, mistycznym zachwycie;
Sny mesyaniczne, natchnione proroctwa
Nad ziemią inne wytwarzały życie,
Gdzie rzeczywistość znikała z przed oczu
W gwiaździstem, sennem marzenia przezroczu.

Pamiętam dotąd chwile owych wiosen,
Gdy serca nasze paliła tęsknota,
A bór nam szumem dębów swych i sosen
Śpiewał, jak stary pieśniarz-wajdelota,
Rycerskie pieśni dawnej przodków chwały,
Które nas czarem swoim upajały.

Pamiętam dotąd, jak nam szmer strumieni,
Słowików śpiewy, powiew kwiatów woni,
I zorza, która błękity rumieni,
Wszystko wokoło wciąż mowiło o N i e j,
O nieśmiertelnej, co w grobowcu czeka
Na odwalenie kamiennego wieka. . . .

(Dokończenie nastąpi.)

KOHINOR.

NOWELA BARONA A. von ROBERTS.

Tłomaczyła J. M. B

— Czytaliśmy, Borysie, odezwała się hrabina Anna. Zgadnij pan, co? Zdumiewającą historyą! Jestem jeszcze zupełnie pod jej urokiem.

— I jakiż jej tytuł, jeśli wolno zapytać?

Westchnienie było odpowiedzią. Czyż nie słyszała zapytania? Podniosła się i wytwornemi szczypcami zaczęła poprawiać ogień na kominku, roztrząsając popiół białawy.

— A propos, zwrócił się Borris do hrabiego, musisz przeczytać pewną powieść w „Przeglądzie“. Byłem w mieście... i wiesz... historya ta robi wrażenie. Bajeczna niedyskrecya!... Trzebaby tej hałastrze literatów doprawdy cugli nieco ukrócić:

— Jaki tytuł? zapytała Anna, wyrwana z zamyślenia. Nasza powieść zatytułowana jest „Kohinor“.

— Ach!.. zawołał Borris. Zdziwiony wzrok jego spoczął na twarzy hrabiego. Ten z zwątpieniem ramionami wzruszył.

— Można szaleństwem nazwać to, co uczynił bohater tej powieści, mówiła dalej, poruszając wciąż węgle,

których płomyczek niebieski zaczął się unosić ku górze; może nawet jest to brutalnością karać zwierzę w ten sposób, ależ, proszę Pana, coza temperament, coza dusza ognista! — Szkoda, że tyle uczucia zmarnowało się u stóp... cyrkowej artystki!

— Zresztą jest to prawdziwa historya, przerwał Borris, ta sama, o której niegdyś wspominałem. Przejrzałem ją.

— Czy podobna... prawdziwe zdarzenie! zawołała, porwawszy się z miejsca. Ach! gdybym choć raz jeden mogła ujrzeć owego barona Czermak!... Oczy jej błyszczały.

— Ja go znam.... Pełne znaczenia, zaklinające prawie spojrzenie hrabiego powstrzymało dalsze słowa Borrisa, poprawił się więc: to jest znałem go osobiście.

— Nie może być! zawołała wzruszona.

Spojrzenia obudwu panów spotkały się w niemem porozumieniu. Czyż teraz właśnie nie jest chwila stosowna, aby do nóg jej upaść i wyznać wszystko?... ażeby wszystko na dobre się obróciło? Ale hrabia Henryk zdawał się ubezwładnionym. Jak w cudowne zjawisko wpatrywał się z boku w jej piękną twarzyczkę, opromienioną entuzyazmem.

— Zaciekawioną jestem, co się z nim stanie i co „ciąg dalszy“ opowie nam o jego losach, wyrzekła z roztargnieniem, myślące swe oczy topiąc w płomieniach nowo-rozżarzonego ognia na kominku. Ale pan go znasz przecież, zawołała nagle. Gdzie on tedy jest? Co się z nim dzieje?...

— Ożenił się, odpowiedział Borris sucho, dobrze, uczciwie i z całem zastanowieniem, ożenił się z piękną, kochaną, prześliczną kobietą.

— Ożenił się!... a — a!. I z głośnym brzękiem szczypce, któremi węgle rozgarniała, z rąk jej wypadły.

To „a — a!“ tyle w sobie mieściło! Ożenił się! — był to zawód, nieledwie oburzająca niegodziwość — że on, ów świetny bohater, w tak zwykły, prozaiczny sposób zagrzęznąć mógł w realiźmie codziennego życia; ożenił się! — nie, ach! nie — wyraz ten nie rozbrzmiewa echem szczęścia, które byłoby zdolnem zapełnić płomienistą jego duszę. „Ożenił się“ — powtarzała — i jakoby zazdrość, szczególna jakaś, niepojęta zazdrość brzmiała w głosie tej młodej, uroczej kobiety.

* * *

Jak w cudowne zjawisko hrabia Henryk przez całe dwa dni z podziwem w nią się wpatrywał. Cała jej istota zdawała się nowym otoczona urokiem; z słów jej, z jej spojrzeń i poruszeń przebijał żywo powstrzymywany, tajemny odbłysk prawdziwego uczucia. Wątły dotąd kwiat jej serca rozwinął się — i świetnie zajaśniał w pełnym rozkwicie! Miłe to dziecko, które on w swem własnem przekonaniu dostatecznem otaczał staraniem, przemieniło się nagle w kobietę, która namiętnie bronić będzie prawa swojego: kochać i być gorąco kochaną! A dokonała tego jedynie... powiastka nic nieznacząca... Jakże był zaślepiony przez całe długie dwa lata! Dla czegoż od dawna nie kochała jego, rzeczywistego barona Czermak, który się za powieściowym baronem ukrywał?

Trzeciego dnia nie był już w stanie zapanować nad sobą. Precz z wszystkiemi wątpliwościami, które w umyśle jego powstawały jeszcze przeciw powziętemu postanowieniu.

Działo się to przy ostatniem daniu obiadu.

— Anno, pragnę pomówić z tobą, zaczął nieśmiało, rozłamując z trzaskiem łupinki migdałów, co jedynie przerywało panujące pomiędzy nimi milczenie. Dotyczy to Kohinora.

Zaczęła uważniej się przysłuchiwać, a lekki rumieniec, jakby odblask wewnętrznych płomieni, zajaśniał na jej myślącej twarzyczce.

Jasne, głębokie spojrzenie w jej oczach utkwiwszy, hrabia mówił dalej, dźwięczny jednak głos jego drżał lekko:

— Powieść ta jest niedyskrecyą, jak to już i Borris przyznał i oświadczył. Jest ona wiernie z życia wziętą. Znam dokładnie barona Czermak... wiesz, kto nim był?... To ja... ja sam...

— Ty?! z głośnym wykrzykiem wyrwało się z ust jej... I zwolna opadły ręce jej na łono, rozszerzyły się oczy, a usta raz jeszcze z drżącem wahaniem wykrzyknęły: Ty?...

Zerwał się i do nóg jej upadł, ujmując w obie dłonie jej drżące ręce. Błagającem spojrzeniem szukał jej spojrzenia, które przerażona z zadziwienia prosto przed siebie utkwiła.

— Anno moja, tak jest, ja to byłem. Ja to owego konia zabić kazałem. Byłem szalony, byłem wściekły. Szatan mnie chyba opętał wtedy, sam nie wiedziałem, co czynię. Trzeba ci wiedzieć wszystko, jak się to stało — nie odchodź, Anno, posłuchaj...

Usta jej drgnęły kurczowo, a oczy zaczęły budzić się do życia.

— Anno, tak byłaś przejętą, tak życzyłaś sobie spotkać i poznać go kiedy. A więc dobrze, jest on tutaj, klęczy u stóp twoich i prosi o przebaczenie Nie znał cię i tyś go nie znała. Przyszedł Kohinor, aby nas z sobą zapoznać! Odtąd wszystko będzie inaczej, Anno, cała ta gorącość uczucia, cała miłość, cała istota moja odtąd jedynie do ciebie należeć będą. Będziemy szczęśliwi... ach! jakże będziemy szczęśliwi!...

Dziwnie wymuszony, przelotny uśmiech, o którym dusza jej zdawała się nie wiedzieć nawet, rozchylił jej usta, przez które zabłysły perłowej białości, śliczne jej ząbki. Lekko w tę i ową stronę przechylając główkę, z ciężkiem westchnieniem wydobyła z siebie:

— Henryku, nigdy, przenigdy nie byłabym tego o tobie przypuściła.

— Anno, moja słodka Anno, kocham cię, kocham szalenie, ciebie tylko... ciebie!...

Lecz... Boże.... cóż to ma znaczyć? Zniknął jej uśmiech, nienawistnem spojrzeniem oczy jej wyznanie to odepchnęły. Nie, nie, oczy jej nic o miłości wiedzieć nie chcą — zimnym, marmurowym wzrokiem wpatrzyła się w niego. Mroźny dreszcz ją przejął, wyciągnęła z rąk jego dłoń swoję powoli. A potem, obiema rękami twarz sobie zakrywszy, siedziała tak nieporuszona, jakby skamieniała.

Myśli mu się plątały — cóż jej się stało? cóż on uczynił? Nagle w przerażający sposób rozjaśniła się przed nim pewność, że wyznaniem tem popełnił jedną z największych lekkomyślności swego życia.

W kilka dni później spotkał się z Borrisem na miedzy, rozgraniczającej ich dobra.

— I cóż? — zapytał tenże, wpatrując się w twarz hrabiego, która zmieniona, zupełnie prawie przeistoczoną wydawała mu się w skutek nurtującego w nim wzruszenia. — No, i cóż nowego?

— Nic, nic!... Kilka słów obojętnych o polach i gospodarstwie zamienili z sobą podczas wspólnej przejażdżki wśród cichego jesienią lasu. Nagle ze złością wyrwały się hrabiemu Henrykowi słowa: — Czyż podobna, aby ktoś tak bezdennie mógł popełnić głupstwo!.... — I szpicrutą świsnął w powietrzu. — Ach!

— No, to już tak bardzo dawno, iż żal chyba za późno się odzywa — odrzekł z uśmiechem i odcieniem ironii Borris.

— Nie o to chodzi — zawołał hrabia — historya z Kohinorem jest dziecinną zabawką w porównaniu z nową, najciekawszą z wszystkich niedorzeczności. — I opowiedział Borrisowi o swem wyznaniu. — Ależ chyba szaleniec tylko nie byłby z podobnego położenia chciał korzystać. O! te kobiety! i niechże tu kto pozna kobiety! O prawdziwym Czermaku absolutnie nic wiedzieć nie chce. Dopóki bohater mieścił się tylko w powieści, dopóty go podziwiała, a gdy tenże odsłania się nagle, jako jej własny mąż, odwraca się od niego z oburzeniem i wstrętem Przecież to widoczna zazdrość. Co u obcego chwałą, to samo

u własnego męża jest zbrodnią. Od zmysłów odchodzi, płacze, chora z rozdrażnienia, większe dziś dziecko, niż kiedykolwiek. Przyznaję, iż nieco słuszności jest po jej stronie. Porównuje, w jak obojętny sposób odbyło się nasze połączenie, a jak gorącą była tamta ówczesna namiętność. Tutaj proza, tam poezya! A ona wiele ma skłonności do poezyi, niepoprawną jest marzycielką.... Sądzę nawet, że zanadto oddaje się romantycznym zachciankom. Może żąda teraz jakiegoś z mej strony czynu nadzwyczajnego, niezwykłego, coby przewyższył wypadek z Kohinorem, a dowiódł jej mojéj gorącéj miłości. Gdybym choć wiedział, co mam zrobić?... Podajże mi myśl jaką, co mam uczynić, na co się odważyć, na lądzie, czy na morzu, a choćby i w powietrzu, na coś, gdzie idzie o śmierć, lub życie! Kocham ją, tak jest, kocham.... ale to dziecko nie wierzy mi, nie wierzy słowom, jej miłości czynem dowieść trzeba!....

W słowach jego burza przebijała. Rozbudziła się znów zupełnie dawna jego płomienista dusza. Nawet koń pod jego rozdrażnioną ręką niepokoić się zaczął, zrywając się w nierównych rzutach. Nagle podniósł jeździec szpicrutę, aby nią uderzyć niesforne zwierzę. Spokojne, głęboko nurtujące spoczęło na nim Borrisa spojrzenie.

Spojrzenie zdawało się mówić: „Kohinor!“ Wahająco hrabia Henryk szpicrutę opuścił. Usta jego wydały lekkie westchnienie.

Borris wzruszył silnemi ramionami: — Doprawdy, stary ten mój chłopak jest w stanie popełnić coś niesłychanego, coś gwałtownego, coś, gdzie chodzi o śmierć, lub życie, bo cień Kohinora wymaga tego. O! zgaduję.... on ją kocha! A więc wszystko jeszcze na dobre obrócić się może.

I zajaśniały oczy Borrisa. Posiadał on złote serce, a przydomek „dobry“, który do imienia jego przywięzywano, był jak najlepiej i najprawdziwiej zastosowanym. — Jakiż — myślał — jest sposób, by pomódz im obojgu? Trzeba mieć cierpliwość. Bardzo trudna to sprawa! I z wyrazem chwilowego niezadowolenia, którego nie był w stanie pokonać od razu, wracał z swej konnej przejażdżki.

— Nie do uwierzenia, jakim pozostało się nowicyuszem względem znajomości serca kobiecego pomimo wszelkiej wprawy w tej mierze!

* * *

Tak jest, był to cień strasznego zwierzęcia, który ciężko i ponuro, jak chmura burzą grożąca i gromy zwiastująca zawisł nad obojgiem. A cień ten zdawał się żądać.... zemsty. Wszędzie Kohinor! Pomiędzy ich spojrzeniami, bezustannie się szukającemi w obawie i rozpaczy, aby się nie zgubić na zawsze, cień ten unosił się podobny do widma — ponad ich niepewnemi słowami unosiło się imie szlachetnego zwierzęcia, jak dźwięk tajemniczo brzmiący; Kohinor był wspólnikiem ich milczenia i bezustannym towarzyszem ich myśli. Widzieli i czuli, jak cień ten straszliwy rosł i rosł coraz wyżéj i coraz potężniejsze przybierał rozmiary, grożąc ich losom nieszczęściem i pognębieniem. Może dobre słowo, w dobrej wypowiedziane godzinie, byłoby zdołało usunąć tę klątwę, lecz jakoby nieubłagany Kohinor nie chciał, aby im ono przyszło na usta. Było to nieznośnie — dręczone ich dusze pragnęły wybawienia z tej otchłani — ach! jakiegokolwiek wybawienia.

Borris udręczenia te odczuwał w wiernem, przyjacielskiem swem sercu. Przypatrywał im się przez czas krótki, następnie od teoretycznych swych szperań i wywodów nad sposobem ocalenia, którego, jak mu się zdawało, uchwycił wątek, zerwał się do czynu. Ów sposób ratunku bardzo był podobnym do pedantycznej spekulacyi, najeżonej trudnościami; brzmiał on, jak wymuszony motyw komedyi, a pachniał inkaustem i czernidłem drukarskiem, był mu przytem od razu najsympatyczniejszym z wszystkich. Była to próba!... lecz może się poszczęści, a może spełznie na niczem, rozbije się o nieobliczoność wypadków. Ale cośkolwiek uczynić trzeba prędko, zanim złe nieuleczalnie się zakorzeni.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KORESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO.“

Poznań, d. 29 stycznia.

„Biada zwyciężonym!“

Słowem tem, zapożyczonem z ust galskiego Brennusa, poseł nasz na sejm pruski, ks. dr. Stablewski, przy onegdajszych obradach sejmowych nad interpelacyą „Koła polskiego“ w sprawie szkolnej trafnie i dobitnie scharakteryzował obecne nasze położenie. „Biada zwyciężonym!“ — to była treść wywodów, które przeciwko nam i dzieciom naszym przy tychże rozprawach przytoczyli mówcy, stojący po stronie ministeryalnego rozporządzenia, usuwającego z ludowych szkół polskich naukę naszego ojczystego języka. Posłowie konserwatywni i narodowo-liberalni bez ogródki w swych mowach zasadę tę wygłaszali, mówiąc między innemi o „łańcuchu“, który nas ma opasać, a w dalszej konsekwencyi — udławić. Dla reprezentantów narodu niemieckiego w rodzaju panów: barona Zedlitza, Minnigerode i Scera głuche pozostały głosy bólu i żalu polskich współobywateli, podniesione na rozlicznych wiecach, odbytych w czasie ostatnim, a jak ze zdawkową monetą obeszli się oni z prawami, nam przysługującemi i przyrzeczeniami królów pruskich, danemi ludności polskiej W. Ks. Poznańskiego i Prus Zachodnich.

„Biada zwyciężonym!“ — możemy z czcigodnym naszym posłem powtórzyć także po odpowiedzi, jaką na interpelacyą dano „Kołu polskiemu“ od stołu ministeryalnego, a która kończyła się oświadczeniem, że rząd twardo obstawać będzie przy swem rozporządzeniu. Jedyną ulgą (jeśli tu w ogóle o uldze mowa być może) było w odpowiedzi ministeryalnej oświadczenie, że nic nie przeszkadza, aby dzieci uczyły się polskiego języka poza szkołą i że nauka religii w szkołach ludowych ma być i nadal wykładana po polsku. Posłowie polscy przyjęli oświadczenie to ze względnem zadowoleniem dla tego, że już z rozmaitych okolic nadeszły hiobowe wieści, że władza rządowa zabrania nawet prywatnej i domowej nauki polskiej i że w niektórych szkołach poczęto także naukę religii wykładać w języku niemieckim. Po oświadczeniu więc ministra, dr. Gosslera, obowiązkiem będzie każdego Polaka, aby stwierdził, o ile miejscowe władze do słów ministeryalnych się stosują i aby w danym razie z oświadczenia korzystał ku dobru biednej, polskiej dziatwy. Z drugiej strony powinno oświadczenie pruskiego ministra oświecenia być dla nas pobudką, abyśmy tem gorliwiej zajęli się prywatną dzieci naszych nauką.

Szlachetny przywódzca niemiecko-katolickiego stronnictwa sejmowego, dr. Windthorst, przy obradach nad interpelacyą polską powiedział, co następuje:

„Jestem przekonany, iż rozporządzenie znajdzie przeciwników potężniejszych od niego. Są to po prostu matki-Polki!“

I my podzielamy to zdanie, ale w czyn zamieni się ono wtenczas dopiero, gdy każdy dom polski stanie się także polską szkołą i to w najzupełniejszem słowa znaczeniu, jeśli istotnie, ktokolwiek umie po polsku czytać i pisać, udzieli swych wiadomości także dzieciom, pozbawionym nauki w szkole Na przeszło 300,000 dzieci polskich potrzeba wielu nauczycieli, a jeśli zapał, obecnie panujący, chociaż na chwilę ustanie, natenczas grozi może i nam równe niebezpieczeństwo, jakie spotkało niektóre okolice nad granicą pomorską, Ślą-

zka i Łużyc, gdzie często już matka nie rozumie języka swego dziecka, a dziecko języka matki.

Co do rozpraw nad interpelacyą samą, przyznać trzeba, że posłowie nasi praw polskiemu narodowi przysługujących bronili poważnie, z zapałem wielkim i z godnością, reprezentantom polskiego narodu konieczną.

Interpelacyą uzasadnił poseł, ks. dr. Jażdżewski, przypominając obecnym reprezentantom rządu dawniejsze rozporządzenia pruskiej władzy szkolnej, w których uznano konieczność nauki języka polskiego, przypominając mianowicie ministrowi oświecenia, dr. Gosslerowi, jego zaręczenie z 1881 r., że nie pragnie uciskać języka polskiego, że nie chodzi mu o germanizacyą i że w szkołach ludowych ma wykładanym być język nasz ojczysty. Przypomniał też poseł, ks. dr. Jażdżewski, że pedagogowie wszystkich krajów, że nadto wszystkie stronnictwa sejmu pruskiego po wszystkie czasy i dawniejsi pruscy mężowie stanu trzymali się zasady, iż podstawą wszelkiej nauki szkolnej powinien być język ojczysty. „Czasy, tak między innemi wywodził ks. dr. Jażdżewski, kiedy Rzymianie tępili język autochtonów, kiedy w ziemiach zakonu niemieckiego pod karą śmierci zabroniono mówić po wendyjsku, dawno minęły. Dziś każdy rozsądny człowiek piętnuje i potępia wstrętne takie barbarzyństwo w sposób, jak je historya napiętnowała i potępiła. Geniusz zaś narodu niemieckiego miałby na to pozwolić, iżby choć w przybliżeniu coś podobnego zastosować miano do polskich poddanych monarchii pruskiej?“

Niestety! jeśli w wywodach posłów niemieckich, jak Minnigerodego, Wehra, Zedlitza i Seera było natchnienie geniuszu narodu niemieckiego, natenczas cała apelacya do tegoż geniuszu na nic się nie zdała.

Drugim mówcą polskim był poseł, ks. dr. Stablewski, który wzniosłą swą mowę rozpoczął od wyżej przytoczonych słów: „Biada zwyciężonym!“ Nie tu miejsce powtarzać słuszne wywody posła, ks. dr. Stablewskiego; przytoczymy jednakże chociaż kilka najpiękniejszych ustępów. Tak np. powiedział mówca o pruskiej racyi stanu, co następuje:

„Czy istnieje dwojaka moralność? Jeżeli moralność pruskiej racyi stanu jest słuszną, natenczas moralność boska jest nieprawdziwą — oto alternatywa! Teorya uprawniająca do wyrządzenia krzywdy na podstawie racyi stanu, jest negowaniem chrześciańskich zasad.“

W końcu powiedział czcigodny nasz poseł tak:

„Owoce systemu obecnego inne zbiorą mocarstwa — jeśli uprzednio już potężniejsza ręka nie zburzy planów tak subtelnie a silnie ukutych, jeżeli nie ukaże przedtem już burza, co szaleje nad całą ziemią, że najwyższa państwowa mądrość polega jedynie w pierwiastku chrześciańskiej sprawiedliwości i jeżeli bezlitosne i niesprawiedliwe środki pruskiej racyi stanu nie rozbiją się o owe jedyne podwaliny, na których narody i państwa budować winny swą przyszłość. My Polacy przed sądem świata nie pokutujemy za żadne zbrodnie, ale jedynie za błędy ojców naszych — i ciężko za nie pokutujemy. Historya karze niesprawiewiedliwość — a im niesprawiedliwość ta jest większą, tem większą staje się i pokuta. W jaki sposób usprawiedliwicie wasze postępowanie przeciw nam? Nie dość wam było na walce przeciw spokojnym poddanym — trzeba wam jej i przeciw dzieciom! Was też oskarżać będą nietylko stargane prawa całego narodu — was oskarżą boleść rodziców i łzy dziecięce! Takich środków Bóg nie błogosławi — środkami temi bowiem staracie się podkopać ufność w prawdę przyrzeczeń, na których właściwie polegać mielibyśmy największej prawa. Środkami takiemi podkopujecie zasady chrześciańskiego prawa — niemi wywołujecie nienawiść plemienną i ogólną rasową i międzynarodową walkę. Ale polityka nienawiści nie jest podstawą żywotności dla narodów i państw, nie posłuży im na przyszłość, a kiedyś może przyjdzie czas, gdzie Tacyt niemiecki napisze o rezultatatach teraźniejszej pruskiej polityki: non aliis, sed sibi perniciem invenerunt. (Nie innym, lecz sobie zgubę zgotowali).“

Ostatnim mówcą polskim był poseł Kazimirz Jarochowski. Zbijał on trafnie zarzuty tak pana ministra oświecenia, jak poszczególnych mówców konserwatywnych, wykazując mianowicie, że najnowsze rozporządzenie nie jest niczem mniej, jak dobrodziejstwem, wyświadczonem ludności polskiej, jak to mniemał p. minister.

Tak cała interpelacya prawie żadnych pozytywnych rezultatów nam nie przyniosła, jakkolwiek sytuacyą wyświeciła i okazała niedwuznacznie, czego się nam jeszcze spodziewać, lub obawiać należy.

Pod wpływem rozpraw nad interpelacyą przepędziliśmy dni ostatnie, toż i nie dziw, że one minęły dla nas cicho i smutno.

Właściwie żyjemy teraz w czasie karnawału, lecz my już prawie zapomnieliśmy, co to czas karnawałowy, a jeśliby ojcowie nasi, z grobów powstawszy, zapytali nas, czy znamy „polskie zapusty“, to odpowiedź nasza wypaśćby musiała przecząco. Wobec całego ogromu ustaw antipolskich nie może też być inaczej — dzieci w żałobie, bo matka w ciężkiej niemocy! — Koncert amatorski, urządzony staraniem „Koła towarzyskiego“ przed tygodniem w Bazarze, i zabawa, urządzona z powodu rocznicy założenia towarzystwa „Stella“ — oto i wszystko, co z dni ostatnich do kroniki zabaw poznańskich zapisać można. Zresztą czas karnawałowy płynie cicho, spokojnie — mamy po prostu karnawał melancholijny!

Znane to jednak i wiadome powszechnie, nacoż więc nad znanem się rozwodzić. Pospieszmy raczej do teatru polskiego, gdzie wolniej i swobodniej możemy odetchnąć.

Na dzisiaj cofnijmy się myślą do trzech ostatnich benefisów, a mianowicie benefisu p. Junoszy, pp. Janowskiego i Popławskiego.

Dopóki panna Junosza służyć będzie wesołej i wdzięcznej Thalii, dopóty z przyjemnością wspomnieniem będzie wracała do tegorocznego swego benefisowego wieczorku, gdzie występowała w roli młodziutkiej żony starego męża. Zwiędną wprawdzie (a może już zwiędły) bukiety, które w dowód uznania ulubienicy swej złożyli liczni wielbiciele, ale na zawsze pozostanie w pamięci widok przepełnionej sali teatralnej i grzmot frenetycznych oklasków. Wprawdzie dotychczas każdy benefis p. Junoszy wypadał świetnie, ale nigdy powodzenie nie było tak zupełne, jak tego roku, co najlepszym dowodem, że publiczność nasza umie nietylko uznać wrodzony talent, ale także oddać hołd pilnej i sumiennej pracy.

Zresztą nie sama p. Junosza zadowolona była z swego benefisu. Także i dyrekcya teatru uradowana była z rezultatu przedstawienia benefisowego dla tego, że jego efekt finansowy dowiodł, iż sama publiczność poznańska utrzymać może polską scenę miejscową, nie popierając jej choćby niczem innem, jak tylko pilnem uczęszczaniem na przedstawienia.

Niestety! poparcia tego dotychczas dopatrzyć się nie możemy, a przynajmniej nie w takim stopniu, jak byśmy sobie tego życzyli. Są wprawdzie rodziny, które prawie na każdem widzieć można przedstawieniu, są jednakowoż tacy, i to bynajmniej nie mniej zamożni, którzy niejako sobie wzięli za zasadę tylko przedstawienia benefisowe zaszczycać swą obecnością. Z kilku w ostatnim czasie danych przedstawień po cenach zniżonych odnieśliśmy nawet przekonanie, że zniżenie cen nie jest wcale wabikiem dla większej części naszej publiczności. „Dom otwarty“ Bałuckiego bynajmniej nie ustępuje miejsca „Staremu mężowi“ Józefa Korzeniowskiego tak pod względem scenicznym, jak etycznym, a wreszcie i humorystycznym, a jednak sala teatralna podczas jego wystawienia równała się — szczególnie w dolnej swej części — raczej pustyni, niż domowi otwartemu. To samo powiedzieć można o danym także po cenach zniżonych „Złotym pająku“ Schoentana.

Wracając do benefisu panny Junoszy, zaznaczamy, że wielu ciekawych, którzy się znajdą zawsze i wszędzie, pytało: Dla czego p. Junosza na swój benefis obrała właśnie niedawaną u nas od dawna sztukę Korzeniowskiego p. tyt.: „Stary mąż“? Jeszcze za życia autora krytycy

wykazywali w utworze tym liczne uchybienia tak pod względem artystyczno-scenicznym, jako też etyczno-moralnym. Odpowiedź znaleźliśmy w tem, że publiczność przyjęła nietylko benefis, ale i sztukę samę przychylnie, tak, że powiedzieć sobie można było, iż „Stary mąż“ jeszcze i dzisiaj na czasie i że wady, które w utworze swym przedstawia Korzeniowski, nie są tak „niemodne“, jakby się to zdawać mogło. Może p. Junosza o tem była przekonana i według tego swój wybór pokierowała.

Wiele wyżej pód względem wewnętrznej wartości od „Starego męża“ stoi „C ó r a p i e k ł a“, komedya Rudolfa Kneisla, którą na swój benefis obrał p. C z e s ł a w J a n o w s k i. „Córa piekła“ jest to prawdziwa chłosta na bigoteryą, pod maską której występuje fałsz, obłuda i brudna interesowność, a oprócz tego charakteryzuje cały utwor tendencya wysoko moralna i postępowa obok wielkich zalet pod względem scenicznego przeprowadzenia. Dodatnie charaktery w tejże komedyi przedstawiają przede wszystkiem sama „córa piekła“ czyli Klara Lebrecht, alias Walfried, eks-woźny Gruszka i baron Kostan; ujemnemi charakterami zaś są: wdowa Dorota Bernack i siostrzeniec barona, Ferdynand Warnberg. Intryga zasadza się na tem, że wdowa Bernack. która pod maską świątobliwości w swe sidła zupełnie ujęła barona Kostana, za pomocą kandydata teologii Mailanda stara się z domu barona wyprzeć poleconą temuż przez przyjaciela wesołą i ujmującą pannę Klarę, gdy tymczasem okazuje się, że ostatnia jest córką Kostana, o której wszyscy sądzili, że już dawno nie żyje; wreszcie Gruszka demaskuje intrygi tak wdowy Bernack, jak Ferdynanda Warnberga. Dodajmy, że Klarze, t. zw. „córze piekła“, udaje się dla siebie zupełnie pozyskać nietylko barona Kostana, ale i kandydata teologii, Mailanda, który jeszcze przeed rozwiązaniem komplikacyi, ujęty wdziękami i zaletami Klary, oświadcza się o jej rękę, a pojmiemy, jak trudne zadanie do spełnienia miała pani Janowska, która rolę „córy piekła“ odegrała. Tymczasem przyznać musimy, że pani Janowska odegrała swą rolę tak, że sam autor dzieła chyba nie mógł sobie inaczej „córy piekła“ obmyślеć. Że pani Siedlecka, jako wdowa, Dorota Bernack, a właściwie Fryderyka Knopfman odegrala swą rolę równie świetnie, jak p. Siedlecki barona Kostana, a p. Trapszo eks-woźnego Gruszkę, rozumie się samo przez się. Niemniej dobrze pojęli, wystudyowali i oddali swe role beneficyant, p. Janowski, na scenie kandydat teologii i p. Korczak, jako nabożniś-bon-vivant, Warnberg.

W ogóle powiedzieć można, że przedstawienia benefisowe, jakkolwiek artyści na nie prawie wyłącznie wybierają sztuki popisowe, wypadają bardzo dobrze. Najświeższym tego dowodem wystawiony w zeszły czwartek po raz pierwszy obraz dramatyczny K a r o l a B r z o z o w s k i e g o p tyt: „Malek“. Artyści nasi, którzy w sztuce tej, wybranej na benefis p. Popławskiego, występowali, znali dobrze trudności utworu, mimo to zadaniu swemu najzupełniej sprostali, dowodząc tem samem, że i dla poważniejszych utworów scena poznańska ma odpowiednie siły. Kreśląc te słowa, mam przede wszystkiem na myśli samego beneficyanta, który występował w roli generał-gubernatora Wołogdy, Wasyla, satrapy, któremu został powierzony dozor nad wysłańcami tatarskimi.

Wszystkie te benefisa nietylko artystom, ale i publiczności przyniosły niemałą korzyść. Przekonaliśmy się z nich bowiem, że artyści nasi są zdolni najzupełniej zadowolić publiczność, jeśli tylko ta publiczność spełni nawzajem swój względem nich obowiązek, zapełniając teatr.

Żegota.

Jako nawias do poprzednich artykułów: „Jak żywić niemowlęta i dzieci“

nadesłał

Dr. Józef Koszutski.

Otwierając z niekłamaną radością podwoje „Domu polskiego“ w gronie osób tak poważnych a zgodnych przekonaniem, iż dom polski teraz „staje się jedyną i ostatnią niemal warownią“ przeciw bucie i gwałtom chcącego nas obalić uraganu, że ma być bezpiecznym portem wśród burzy i piętrzących się fal grozy — puklerzem i tarczą ku odparciu skierowanych na naród nasz gromów — postanowiliśmy pomyśleć zaraz na wstępie o tych „maluczkich,“ których nam Wszechmocny zesła i ześle i powierzyć ich obowiązkowej i troskliwej matce. — Ona to tem więcej ma teraz wychowywać ich już to na zdrowych, jędrnych i dzielnych szeregowców, mających zastąpić kiedyś znużonych szermierzy, sypać nowe okopy i zapełniać luki i wyłomy, niebywałym sił prądem poczynione — już to na nadobne, szlachetne, bogate w rozum i serce swe następczynie.

Mając na myśli, aby matki nasze Polki bez wyjątku zająć, zachęcić i zapoznać z tym „tak starym, a przecież zawsze tak nowym i cennym,“ jak go r z e c z y w i ś c i e u c z e n i nazywają autorowie, tematem, żywienia niemowląt i dzieci dotyczącym — byliśmy przekonani, że wstępne nasze słowa wystarczą na przedstawienie pobudek do podjętego zachodu. Tam wspomnieliśmy także — że dotychczasowe w języku polskim ogłoszone, dyjetetyką się zajmujące prace albo nie doznały odpowiedniego uznania, i nie dotarły do miejsca swego przeznaczenia — lub też nie wyczerpują dostatecznie zajmującego nas tutaj przedmiotu.

Od czasu, jak lekarze podzielili się ogromem zadania swego — po wytworzeniu się stanowiska t. n. specyalistów — nauka nasza z dniem każdym nowe zdobywa laury i coraz to bogatsze odkrywa skarby. To też na każdej nieomal gałązce i gałęzi tego kolosalnego dębu nowe przybywają liście i listki, zapisane spostrzeżeniami i odkryciami doniosłej wartości.

Że w przedmiocie wychowania i żywienia niemowląt i dzieci setki w czasach ostatnich zapisano i drukowano stronnic, a zestawiona w jednę całość „bibliotheca paediatrica“ pokaźne teraz zajmuje miejsce — i że tenże i nadal obchodzić powinien i będzie sumiennych lekarzy dzieci — dowodzić uważam za zbyteczne. Każdą nową, w celach powyższych w świat wysłaną, a w przystępnym mi języku skreśloną pracę z szczerą witam radością.

Wydane w języku polskim w ostatnich lat dziesiątce — a mające się przyczynić do pomyślności wzrastającego pokolenia: poradniki, rady i nauki dla matek itp. przystępnie skreślone dziełka i rozprawki, na palcach ręki policzyć można — a według spostrzeżenia panów księgarzy naszych, mimo cen przystępnych, cierpliwie wyczekują one na policach z pod pyłu na swych nabywców. Dzieła, w angielskim, niemieckim, francuzkim ogłoszone języku, w tysiącach rozchodzą się exemplarzy i nowych doznają wydań.

Mając pod ręką wydanie poradników z roku 1877 — 1880, wątpię, aby autorowie ich, którzy tak ochoczo podjęli się owej pracy — nowego chcieli doznać rozczarowania — i wystawili się na to, iżby im na wydanie trzecie znowu tak znaczny szereg lat czekać przyszło. Rozprawy te, omawiające oprócz przedmiotu, nas wyłącznie tu zajmującego, i rozliczne inne, nie są i nie mogą w ten sposób być wyczerpane, jak to z nagłówka, w pierwszym numerze tego pisma umieszczonego, wnioskować można. —

Zachętą — pobudką do ściślejszego rozpatrzenia się w doniosłej kwestyi żywienia niemowląt i dzieci — mają być i jak nam objawiono, są już u wielu matek - Polek i kierowniczek ochronek — skreślone uwagi. Mieszkanki domu polskiego, postępując z dniem każdym w skarbieniu sobie wiedzy, obdarzone sercem szlachetnem, niezepsutem, niesłużącem im za zbiornik żółci i jadu — wyczytają z pewnością tylko to, co im kiedyś do utrwalenia szczęścia i domowego ich ogniska posłuży.

Postępując z duchem czasu, nie zgodzą się na to, aby ich do starych, lub niedostatecznych odsełano podręczników.

Polskie zaś nasze dziewice, obdarzone nawskroś szlachetnem sercem, niepopsute do tego stopnia, aby w każdem słowie dopatrywać się miały obrazy swych uczuć, nie będą niezaprzeczenie czytały między liniami.

Pismo beletrystyczne i naukowe zresztą dla niedorostków się nie wydaje.

Zohydzać zaś pismo, które prostą i uczciwą wytknęło

sobie drogę, które, szczerze pragnąc być użytecznem, także i o zdrowym myśli duchu,*) a pojmując doniosłość hygieny, osobne dla tejże w naukowym swym dziale wskazało miejsce; wyszydzać kwestye tak swojskie, tak naturalne, tak dla każdego niewinnego serca niewinne może tylko pseudo-naturalista i — pseudo-estetyk. Nie znając zadania i granic nauki, hygieną zwanej, dokładnie — widocznie cel własny tylko ma na oku i niezręcznie z nim kryje się przed „pannami“, nawołując je do nielogicznych wywodów i oburzenia. Popchnięty przez t. z. „jalousie du metier“, w znanej swej przesadzie powołuje się na emancypowane studentki z Zurichu, które po uczciwem zbadaniu rzeczy, a przede wszystkiem przynajmniej po przeczytaniu nie pojedyńczych słówek, lecz całego artykułu, wreszcie po głębszem zbadaniu intencyi podjętego tu zadania — nigdy nie podzielą sądu pseudo-moralisty.

Studentkom tym znanem jest bez wątpienia czasopismo niemieckie, także „przez płeć piękną“ wydawane, w 100,000 exemplarzy w świat wysełane — a programem do naszego podobne. Jest to tygodnik z nagłówkiem: „Fürs Haus“, herausgegeben von Clara von Studnitz. I tu przez V roczników napotykamy wśród poezyi, artykułów beletrystycznych — rozliczne inne w dziedzinę hygieny, nauk lekarskich, przyrodniczych itp. wchodzące temata i rozprawy.

„Numera takie“, których żadna rozsądna Niemka „pod stół kryć“ nie pomyśli, „jak przyjeżdżają kawalerowie“, napotykałem i zastaję nietylko u Niemców w salonie, ale i w kilku domach polskich — które widocznie podobnego, choć obcego — błotem nie obrzucają pisma. I tak ostatni taki „w salonie“ polskim napotkany Nr. 278, (a 18-ty z VI-go rocznika) z dnia dzisiajszego, zawiera na wstępie poemat „Mein Kind“ — na następnej zaś zaraz stronie trzyłamowy artykuł: „Ueber Ernährung kleinster Kinder“ podpisany E. v. B., hygienischer Mitarbeiter. Artykuł ten krótki i pobieżnie tylko skreślony niech zechce sobie ów estetyk przeczytać, ale nie znowu tak po swojemu — a może oceni i rozróżni, gdzie piękne, a gdzie nadobne. Przecież nie sprawi mu to takiej trudności, jak odróżnienie „lekcyi medycyny“ od wykładów anatomii, na których pono owe jego studentki obrazić się miały.“

*) „in corpore sano mens sana!“

29. 1. 88. *Dr. Koszutski.*

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

Jakkolwiek szanowny autor wstępnego artykułu dzisiajszego numeru „Domu polskiego“ dość obszernie wypowiedział swe własne, redakcyi naszej i zapewne znacznej części ogółu uczucia i przekonania o 1863 r., zamieszczamy w tym przedmiocie jeszcze słów kilka ze względu na to, że nam je nadesłała zacna i gorliwa patryotka, a szczera przyjaciółka pisma naszego.

Dzień 23-ci stycznia wszędzie, jak Polska długa i szeroka, budzi w sercach współziomków wspomnienia smutne i rzewne, a zarazem uczucia czci i uwielbienia dla tych z braci i sióstr naszych, co może nierozważnie, lecz w każdym razie z nieograniczonem poświęceniem i w głębokiem przekonaniu, że dobrej i świętej bronią sprawy — bo sprawy oswobodzenia ojczyzny — walczyli w powstaniu polskiem 1863 r., z zwykłem naszem hasłem: „za wiarę i ojczyznę.“ Nie wywalczyli wprawdzie pożądanej swobody, kwiat naszej młodzieży legł na polach walki, lub zmarniał w cytadelach; krytyk-historyk powie nawet może, że polska młodzież ówczesna krokiem tym nierozważnym nowe na ogół kraju ściągnęła nieszczęścia, sąd jednak o tem nie do nas należy. Od nas tym bohaterom prawdziwym, tym męczennikom sprawy narodowej, idącym wśród zapału, w szczerej, gorącej miłości ojczyzny na śmierć niechybną, męczeńską — należy się cześć i uwielbienie. To też w tym roku, jako w 25-cio letnią rocznicę tej ostatniej, orężnej walki za niepodległość, gdzie tylko polskie biją serca — i nie w samym kraju, ale i poza jego granicami, jak w Paryżu i Wiedniu, dzień 23-ci stycznia uroczyście był obchodzonym i poświęconym pamięci „poległych i straconych,“ a kto nie mógł osobiście w ogólnym obchodzie wziąć udziału, łączył się z nim sercem i myślą, i w cichem kole rodzinnem niejedno wspomnienie i łzę niejedną cieniom poległych i pomordowanych poświęcił.

U nas w Poznaniu rozrzewniająca ta uroczystość o godzinie 10-tej z rana kościół farny tłumami napełniła. Na środku kościoła ustawiony katafalk bogato światłem, kwiatami i kirem był udekorowany, a u stóp trumny widniała korona cierniowa i wieniec laurowy, przewiązany wstęgą amarantową i białą, z napisem: „Cieniom poległych i straconych w powstaniu 1863 r.“ Biorący udział w tej narodowej walce bracia nasi, którzy na dzień ten zdążyć do Poznania zdołali, zasiedli wokoło katafalka, a nieco opodal stanęli starsi wszystkich cechów z żałobnemi chorągwiami. Nabożeństwo, rozpoczęte odśpiewaniem wigilii, odbyło się w poważnym i jednozgodnym nastroju ducha. Rozrzewniającą głęboko była chwila, gdy po ukończonej mszy św i odprawieniu konduktu pogrzebowego w całym kościele z tysiąca piersi, jakby głos jeden, zabrzmiał śpiew: „Witaj, królowo, matko litości, nadziejo nasza!...“ oddawano tem wołaniem pognębioną ojczyznę litości tej doświadczonej już opiekunce naszej i królowej... a przy słowach: „Do Ciebie, Matko, z płaczem wołamy“ — płacz ten i ból niewymowny uciśnionego ludu nie w samych tylko brzmiał słowach pieśni, ale jękiem tłumionym wydobywał się z piersi wszystkich, zalegających świątynię.

Następnie oddano cześć „Zmarłym“, pochylając chorągwie u stóp trumny.

Niemniej uroczystym był moment, gdy po skończonej pieśni kapłan od ołtarza braci poległych polecił wspólnej modlitwie obecnych.... I cicho klękły tłumy ludu i korne modły płynęły w niebo, polecając braci umęczonych i obecne męczeństwo żyjącego i czującego narodu miłosierdziu i sprawiedliwości Sędziego na niebie.

I znów nastała chwila, gdzie najobojętniejsze nawet rozgrzały się serca i przyspieszonym uderzały tętnem w takt dzwonom, głośno bijącym poza murami wspaniałej świątyni.

Po skończonem nabożeństwie w podniosłym nastroju ducha rozeszli się wierni do domow i zajęć swoich, a uczestnicy powstania, z których niejedni z odległych stron nawet podążyli na wspaniały obrzęd uroczystości żałobnej, zgromadzili się na sali pana Knolla, by się powitać i w miłej kilkogodzinnej pogadance przypomnieć minione chwile i zawarte na polu walki braterstwo. *J.... a.*

Tego samego dnia, w którym się odbyło w kościele farnym uroczyste nabożeństwo za poległych braci, dnia 23 stycznia, wieczorem, miał na sali pałacu hr. Działyńskich odczyt p. Dr. T. Dembiński: „O szkole ukraińskiej“. — Szanowny prelegent określił na wstępie walkę między walącą się w gruzy szkołą klasyczną, a budzącym się do życia w pełni rozkwitu i uroku romantyzmem, któremu ostateczne wywalczyły zwycięztwo: rozprawa Brodzińskiego, „O klasyczności i romantyczności (r. 1818) i przedmowa Mickiewicza do pierwszego zbiorku jego poezyi: „O poezyi romantycznej.“ W dalszym ciągu odczytu wygłosił p. Dr. D. kilka charakterystycznych ustępów z poezyi: „Rozum i wiara“, „Mędrcy“ i „Romantyczność“, gdzie już to skarzy się na napaści mistrzów starej szkoły, już też, jak w ostatniej, młody pieśniarz słynnemu astronomowi-matematykowi daje naukę w słowach:

„Czucie i wiara silniej mówią do mnie,
Niż mędrca szkiełko i oko!“

Następnie zaznaczył pan Dr. D. główne znamiona poezyi ukraińskiej, jej koloryt odrębny, smętny, jak usposobienie ludu Ukrainy, pełen uroku, jak ojczyzna jego naddnieprska, szumiącą trawą i burzanami.

Kolejno potem przedstawił prelegent głównych przedstawicieli szkoły ukraińskiej, mianowicie: Ant. Malczewskiego, Seweryna Goszczyńskiego, Tomasza Padurę, Alexandra Grozę, a w końcu najsympatyczniejszego z tego cyklu pieśniarzy... Bohdana Zaleskiego.

Marya, Sobótka, Zamek kaniowski, Dumki, Szumki, Wiośnianki i Przenajświętsza Rodzina dały prelegentowi obszerny temat do rozwinięcia własnych poglądów, do wykazania zalet tęsknotą owianych, prześlicznych pieśni wieszczów Ukrainy, z czego też szan. prelegent wywiązał się ku zupełnemu zadowoleniu w poetycznym nastroju opuszczającej pałac hr. Działyńskich publiczności naszej.

LISTKI.

P. Zofii A. („jednej z czytelniczek“). Dziękujemy serdecznie za pamięć o „Domu polskim.“ Nadesłane prace chętnie zamieścimy, ale prosimy o odkrycie nazwiska z całem zaufaniem — dyskrycyą przyrzekamy.

P. J. B. K. Anonimów z zasady nie drukujemy. Wierszyk zręczny, zamieścimy go chętnie, gdy poznamy autora.

Wszystkim łaskawym czytelniczkom i czytelnikom naszym, którzy nam nadesłali łamigłówki, zagadki i zadania arytmetyczne, uprzejmie dziękujemy i oświadczamy, że w przyszłym numerze zamieszczać je zaczniemy.

Panu M. S. w P. Drukować nie będziemy; naucz się pan wpierw gramatyki, a mianowicie ostatniej jej części, ortografii, która między innemi poucza, że się nie pisze nusz, bo dopełniacz brzmi: noża.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.